

Starostwo Grodzkie Białostockie

P. 9355 arch

Egzemplarz obowiązujący.

Rok VI. Marzec—Kwiecień—Maj—Czerwiec 1930 r. Nr. 1.

Dnia 1 SRP 1930

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego
„Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach
Nauczycielskich w Białymstoku.

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr.
Cena numeru w miejscu 40 gr., z przesyłką 50 gr.

TREŚĆ NUMERU:

- | | |
|---|----------------------|
| 1. Od Redakcji | |
| 2. Zagadnienie zdrady i zemsty w „Konradzie Wallenrodzie” | E. Sałata. |
| 3. Fragment z odczytu o Wilnie | S. Pietraszak. |
| 4. Co daje nam sport? | Z. Raczkowski. |
| 5. Przebieg uroczystości X-lecia naszej szkoły | W. Lewittówna. |
| 6. Czem jest strój ludowy? | F. Szaruchówna. |
| 7. Niegdyś a dzisiaj... | H. Łotowska. |
| 8. To życie... | E. Sałata |
| 9. Korzystajmy z natchnienia | J. Horodeński. |
| 10. Na naszej ślizgawce. | Z. Woronowicz. |
| 11. Przed zabawą | H. Mianowska. |
| 12. Nasz polonez | Uczestniczka zabawy. |
| 13. Co słysząc na III-cim żeńskim | J. Czechówna. |
| 14. O szkole—z za szkoły (nadesłane) | P. J. Wojtowicki. |
| 15. Mogiła | M. W. |
| 16. Szczęście... (nadesłane) | P. J. Wojtowicki. |
| 17. W wieczornej chwili | J. Horodeński. |
| 18. Mrzonki | |
| 19. Ostatni dzień w szkole | |
| 20. Odpowiedzi Redakcji. | |

Adres Redakcji i Administracji:

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku, № tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: **B. Wojtulewicz.**

Redaktor: **E. Sałata.**

Wiceredaktor: **J. Polówna.**

P. 9355 Arch.

Rok VI. MARZEC—KWIECIEŃ—MAJ—CZERWIEC 1930 ROK. Nr. 1.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku

OD REDAKCJI.

Rozpoczynając na nowo wydawnictwo „Młodej Myśli” zwracamy się do wszystkich Kolegów i Koleżanek o jak-najwydatniejszą współpracę w redagowaniu gazetki. Wartość literacko-artystyczna napływających artykułów jest, niestety, w większości wyników bardzo mała.

Redakcja prosi by temat był jaknajbardziej niewyszukany, prosty, o poprostu nasze życie szkolne, ale zato pod względem formy, stylu o wiele większa niż dotychczas dbałość. Niech artykuły będą krótkie, ale tryskające życiem, ale wypracowane i wystylizowane. Niechże więc wszyscy posiadający choć trochę ambicji literackiej, zarówno starsi, jak i młodszy, mniej lub więcej zaawansowani w kunszcie pisania wezmą się do pracy.

Redakcja.

Zagadnienie zdrady i zemsty w Konradzie Wallenrodzie.

To co oburzyło czytających „Konrada Wallenroda”, zatargało strunami ich duszy — to haniebny czyn zdrady i zemsty dokonany przez Konrada na znienawidzonych Krzyżakach.

Dwa zagadnienia się wysuwają: jaka była podstawa psychologiczna postępcu Konrada i jak się ustosunkował autor do tej sprawy. Wiemy, że często wstrząsające zdarzenie w dzieciństwie, kiedy się dopiero psychika kształtuje, krystalizuje w stałych formach, wywiera ogromny wpływ na nią, decyduje czasem o przyszłych losach jednostki

P. 9355
arch. 

I oto owa straszna chwila, gdy wśród blasków palącego się domu rodzinnego, przy rozpaczliwych krzykach nieszczęsnej matki, został Konrad porwany przez najezdców i uwięziony, ta chwila wstrząsnęła całą organizację dziecięcą i wycisnęła niezatarty na przyszłość ślad. Zatlona wtedy iskra nienawiści do wroga rozdmuchana została do wszechstrawiającego płomienia. Ta instynktowa jakby, zrodzona z doznanej krzywdy nienawiść i chęć zemsty z czasem, pod wpływem uczuć patriotycznych i uświadomienia sobie potęgi wroga a bezsilności Ojczyzny—dojrzała i stała się świadomym, konsekwentnym zamiarem, celem całego życia. Ważnym czynnikiem dzięki któremu Konrad w niewoli u obcych będąc, zachował duszę litewską, był przełożony wpływ poezji narodowej, usymbolizowanej w postaci śpiewaka Wajdeloty. Wiemy iż wiek młodzieńczy jest wiekiem wzniosłych porywów, szalonych czynów, poświęceń się, ofiar, na rzecz jakiejś wielkiej płomiennej idei. W młodzieńcu Konradzie taką ideą była myśl zemsty i pokonania wroga drogą zdrady. Poświęcił jej urzeczywistnieniu wszystko co miał najdroższe, swe szczęście, szczęście osób bliskich, swe sumienie, duszę, wreszcie jak zobaczymy życie.

Z entuzjastycznego, silnego duchem młodzieńca, staje się Konrad mężczyzną—słabym, wachającym się, poddanym namietnościom człowiekiem. Chłodny, obiektywny pogląd na rzeczywistość—to poczucie szaleńczości zamiaru i gra namietności w której główną rolę jest miłość osobista, silne zakazy etyczne, sumienie buntujące się, wreszcie brak entuzjazmu—wszystko to jest zaporą, przeszkodą w dokonaniu zamierzonego kiedyś czynu. Gdyby nie Halban, gdyby nie podburzający, podniecający wpływ pieśni gminnej, kto wie czyby do ostatecznego wyniku nie doszło.

Doprowadzony do ostateczności Konrad, w decydującej chwili, rzuca się w wir czynów, ale nie mogąc przetrwać w sobie, znieść dłużej, po osiągniętej zemście, jeszcze większych męczarni (bo przecież i Krzyżacy są ludźmi!) robi tym cierpieniom rozpaczliwy koniec, wychyla czarę trucizny.

Widzimy postać Konrada bliską nam duchowo, swoją, jego postępowanie jest zrozumiałe dla nas, a to dzięki temu, iż bohater posiada cechy wspólne wszystkim ludziom, wspólne i nam, dlatego że jest przede wszystkim człowiekiem. I to co nas, czytających „Konrada Wallenroda” porusza, wzrusza, rodzi współczucie, to nie idea zdrady i zem-

sty, lecz właśnie te porywy, poświęcenie się, te zmagania się duchowe, walka wewnętrzna, ułomność i słabość—całe piekło męczarni duszy ludzkiej.

Należałoby zastanowić się nad ustosunkowaniem się autora do owej idei tak okropnej. Kładzenie głównego nacisku na cierpienia bohatera, na jego wewnętrzne, duchowe zmagania się, oraz smutne zakończenie, wskazuje iż autor nie apoteozuje zdrady, ani też zaleca. Raczej przeto przedstawienie wielkiej, bezwzględnej miłości Ojczyzny, wielkiego poświęcenia się dla niej i ofiary z najwyższych dóbr jest ideą utworu niż głoszenie zdrady jako środka, wprawdzie ostatecznego dla wyzwolenia swego kraju z niewoli.

Redaktor.

Fragment z odczytu o Wilnie.

Gwarno i wesoło na sali.

Siedzę na krześle i spoglądam na ekran prymitywnie zrobiony z białego płótna i widzę na nim obraz Wilna i jego okolic. Prelegent cichym i smutnym głosem zaczął odczyt. Byłem zdumiony jego wykwintnym stylem, który słuchaczy odpowiednio nastroił i zaciekał. Robił on śliczne zestawienie cichego i ciągle marzącego Wilna ze starym, poważnym, potrycjuszowskim Rzymem, wiecznie tętniącym Paryżem i ociężałym, okrutnym, dyszącym zemstą Berlinem.

Wilno, drogie sercu każdego Polaka miasto, ma dużo zabytków godnych widzenia. Jest ono jak dawniej ostoją kultury na Kresach; w niem też kształciło się wielu mężów światowej sławy.

W murach tego miasta dojrzewiała dusza Mickiewicza, Słowackiego, Żana; tu promieniowała sława cichego i skromnego historyka Lelewela i tu się kształcił wielki budowniczy Polski Józef Piłsudski.

Wilno w czasach porozbiorowych było skarbnicą sił duchowych Polaków, a obraz Ostrobramskiej był ich jedyną ostoją i uciechą. Tam w cichym budynku klasztorным O.O. Bazyljanów znajduje się cела Konrada...

W dalszym ciągu prelegent szeroko omawiał historię

architektury miasta Wilna, podkreślając charakterystyczne cechy poszczególnych stylów.

Naprawdę, my młodzież, nie powinniśmy być obojętni na pewną propagandę, którą czyni Polska wobec nas i zagranicy. Wilno jest miastem polskim i nie chcemy by szpony Waldemarasów i innych burzycieli naszych tradycji niszczyły dorobek kultury ojców. Dość nas krzywdziły rządy zaborcze „Trójcy szatańskiej”. A my, młodzież, spadkobiercy spuścizny po ojcach, zapominamy zaszczycić swoją obecnością odczyt.

W takim razie, cóż my reprezentujemy?

Co o nas powiedzą przyszłe pokolenia? Zapominamy, że celem naszym jest poznać siebie samego i tworzyć z siebie „nowego człowieka”, przez pracę nad wszechstronnym doskonaleniem się, nad kształtowaniem swego charakteru i budzeniem ideowości.

Ażeby dokładniej poznać siebie, trzeba gruntownie poznać historię kultury przodków. Relikwie miast każdy Polak winien znać nie tylko w ramach granic Rzeczypospolitej, lecz i poza jej obrębem. Pamiętać musimy zawsze o straconym Gdańsku i Śląsku.

A jednak zapominamy. Dowodem tego, no choćby ten odczyt z przezroczami o Wilnie. Miast stawić się w komplecie jak jeden mąż, przychodzi zaledwie kilkadziesiąt osób.

Oho!—gdyby tak kto mruknął, że będzie zabawa, wtedy każdy z zacięciem słucha kiedy, gdzie i o której godzinie się rozpocznie.

Koleżanki i koledzy—pamiętajmy na przyszłość, że nasza obecność bardziej pożądana jest na odczycie, aniżeli na zabawie!

St. P.

Co daje nam sport?

„Sport to potęga ducha
— hart woli i siły”.

Piękne to hasło rzucone przez naszego Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego młodemu społeczeństwu, zawiera w sobie myśl głęboką — dążenie do radości życia—tężyzny fizycznej i duchowej narodu. Do tego mu-

simy dążyć wszystkimi siłami; bo nie jednostkowe talenty do pracy twórczej naukowej, artystycznej lub organizacyjnej trafiające się stosunkowo rzadko, zapewnią nam przyszłość; nie jednostkowe bohaterstwa, bo one wcale nie świadczą o tężyźnie sił żywotnych narodu, lecz przeciwnie — świadczą o ich mierności.

Musimy dążyć do tego, ażeby bohaterów było u nas jak najmniej, ażeby to co jeszcze dzisiaj nazywamy bohaterstwem, stało się zwykłym obowiązkiem obywatela narodu silnego fizycznie i duchowo.

Musimy dążyć do wyrobienia w sobie potęgi ducha—hartu woli i siły, bo tylko one zapewnią przyszłość.

Racjonalny sport i wychowanie fizyczne oto jeden z najlepszych środków do wyrobienia tych zalet.

Boisko, skąpane w złotych promieniach słońca — to wielka szkoła nie tylko sprawności fizycznej, lecz i charakteru. Bo tu dopiero człowiek staje się sobą. Tu jak na dłoni uwydatniają się jego cechy indywidualne: uwydatnia się prócz sprawności fizycznej, jego inicjatywa i charakter — a cechy te dobry instruktor-wychowawca potrafi dowolnie nagiąć i kształcić.

Na boisko dąży tak pracownik fizyczny jak i umysłowy, aby po dziennym szarym trudzie odrodzić się niejako fizycznie i duchowo, otrząsnąć się z codziennej szarzyzny, melancholji, niekiedy nawet czarnego pesymizmu. Dąży tam ażeby stać się czemś, ażeby zdobyć energię do dalszej żmudnej pracy—zdobyć słoneczną radość życia.

Sport rozwija w nas potęgę ducha, rozwija hart woli i siły; bo do każdej czynności sportowej potrzebne są te elementy. Ażeby czegoś dokonać, trzeba chcieć — trzeba mieć wolę. Trzeba umieć wykonać—potrzebna jest do tego inicjatywa—potrzebny udział nerwów rządzących mięśniami. Trzeba też i mieć czem wykonać—potrzebne są silne i sprawne mięśnie.

Sport daje nam harmonię ciała i ducha. Sport przygotowuje zdrowych i silnych fizycznie i duchowo obywateli, zdolnych wypowiedzieć walkę zwycięską przeciwnościom życiowym, zdolnych do intensywnej pracy, dla dobra państwa i społeczeństwa.

Z. Raczkowski.

Przebieg uroczystości X-lecia naszej szkoły.

1 listopada obchodziliśmy podniosłą uroczystość X-lecia powstania naszej szkoły.

Uroczysty obchód rozpoczął się nabożeństwem odprawionem przez byłego ks. prefekta Seminarjum Edwarda Mikołajuna. Po mszy św. ks. Mikołajun wygłosił podniosłe kazanie. Bezpośrednio potem dokonano poświęcenia sztandaru szkolnego. Rodzicami chrzestnymi byli: p. Wizytatorka Antonina Zubelewiczówna i prezydent miasta p. Wincenty Hermanowski; dawni uczniowie p. Zielonkówna i p. A. Kopeć, kol. M. Siemieniakówna i kol. I. Popowski.

Po poświęceniu sztandaru odbyło się wbijanie gwoździ. Pierwszy gwoździł Pan Wojewoda Kirst, następnie — przedstawiciele władz, duchowieństwa, wojska, nauczycieli i młodzieży.

Później, po krótkiej przerwie, o godz. 12-ej rozpoczęto obrady zjazdu byłych pp. profesorów i uczniów Seminarjów. Zagał zjazd p. Dyrektor. Przewodniczył obradom prof. M. Rusiecki. Przemówienia powitalne wygłosili: p. Naczelnik Drewnowski, p. Prezes R. Młyński i p. Hermanowski w imieniu rodziców. Później odbyło się odczytanie depeš powitalnych, między innymi od Ministra W.R. i O.P. Następnie zabrał głos p. Tadeusz Turkowski, pierwszy dyrektor i twórca naszej szkoły, mówiąc o powstaniu Seminarjów, o ciężkich warunkach, jakie musiał staczać i o rozwoju szkoły.

O godz. 4 p.p. wznowiono obrady. P. prof. Bieniaszówna zreferowała wyniki ankiety, przeprowadzonej wśród byłych uczniów.

Wieczorem odbył się koncert, na który złożyły się: śpiew choralny pod batutą p. prof. Korzejówny, muzyka skrzypcowa pod kierownictwem p. prof. Muszyńskiego i partje solowe. W czasie przerwy nastąpiło wręczenie p. Turkowskiemu przez b. jego uczniów pięknego upominku: Książki wartościowej.

2 listopada. Drugi dzień zjazdu rozpoczął się wręczeniem p. Wizytatorce Zubelewiczównie albumu pamiątkowego. Przemawiali: p. prof. Małek i prezes bratniej pomocy kol. Popowski. Chór odśpiewał pieśń „Nasze hasło”.

Po przerwie p. prof. R. Młyński wygłosił referat p. t. „O prądach w pedagogice współczesnej” i p. prof. M. Rusiecki „O zmianach w programie rachunków”.

Następnie p. Krynicki mówił o ostatnich zarządzeniach Ministerstwa W.R. i O.P., dotyczących egzaminu kwalifikacyjnego.

Potem zabrał głos p. Turkowski, mówiąc o kursach dokształcających i zachęcając do pracy samokształceniowej, obiecał też jaknajchętniej pomagać i służyć dobrą radą.

Wieczorem na zakończenie odbyła się towarzyska herbatka.

W. Lewittówna.

Czem jest strój ludowy?

Ile jest gmin, dzielnic, tyle różnic w zwyczajach, obyczajach i strojach naszej wiejskiej ludności.

Miałam okazję zwiedzić kilka zakątków Polski, poznać choć ogólnie życie i stosunki naszego ludu. Najdokładniej przyjrzałam się strojom.

Każdy z czytelników zna zapewne, bo widział czy to rzeczywiste, czy też z ilustracji piękne stroje Łowiczan.

Żeby kto był nie wiem jak zamyślony, albo nie wiem jak roztargniony to przechodząca obok Łowiczanka zwałaby jego wzrok i uwagę przecudnymi i licznymi barwami swego stroju. Tak piękny ten strój! Lecz niestety, z żalem należy stwierdzić, iż strój ten zaczyna zanikać. Męski strój ludowy zniknął prawie zupełnie i tylko gdzieś niegdzie w niedzielę widzi się jeszcze starca w szerokich „pasiakach”. Trzeba przyznać, że kobiety w większym poważaniu zachowują strój rodzinny, ale i one mają swych fałszywych opiekunów, którzy starają się zastąpić go modną tandetą dla zysku.

Gdy zważymy, że z zapomnieniem dawnych strojów łączy się także zanik dawnych pięknych obyczajów, uświadamimy sobie wielkie niebezpieczeństwo, grożące kulturze rodzinnej.

Religia, język i strój tworzyły i tworzą rdzeń polskości ludu; były nim dawniej — pod knutem zaborcy, będą nim i nadal.

Nie ten szerzy zamiłowanie do strojów rodzinnych, kto je nosi od parady, lecz ten, kto w noszeniu ich widzi dąż-

ność do utrzymania staropolskiej cnoty i bogacącej kraj samowystarczalności.

Rozumiejąc doskonale tę potrzebę korzystamy z każdego pobytu wśród ludu, aby okazać zrozumienie miłość, i szacunek dla jego stroju i obyczajów.

F. Szaruchówna.

Niegdyś a dzisiaj.

Tak się dziwnie plecie na tym biednym świecie, że czasem i wierzyć się nie chce. Zda się, że to majaki chorej wyobraźni, a to jednak rzeczywistość.

Mam na myśli przeszłość Seminarjum.

Za czasów carskich mieścił się tu Instytut „błahorodnych dziewczyn”. Kimże były owe „błahorodne”? to córki najwyższych urzędników carskich, magnatów rosyjskich i... polskich. Tak, były tam i polki.

Nawet je chętnie przyjmowano w mury zakładu, jako podatny materiał do rusyfikacji.

Czy ta rusyfikacja zawsze się udawała, to inna sprawa. Zależało to od jakości danej osoby.

Czyż nie dziwne wybryki losu?

Miejsce zagorzałego, wyrafinowanego wynaradawiania, miejsce świadomego fałszowania, męczeńskich, krwią bohaterów zroszonych, dziejów Polski, staje się jedną z ważniejszych placówek oświatowych, już niepodległej Polski.

Te dwie skrajności łączą się korowodem ludzi i zdarzeń. Szare legjony i ich wódz... odzyskanie niepodległości Polski... powstanie Seminarjum... Czerwona hydra wschodu i Cud nad Wisłą. Cud dzięki takim szlachetnym straceńcom, jak ś.p. koledzy Zbigniew Ruszczyk i Roman Hryniewiecki, więc w przeszłości Seminarjum są i krwią pisane strony.

Ofiarna krew ta daje spokój potrzebny do dalszego rozwoju naszej szkoły.

Przesuwają się przed wzrokiem duszy pierwsze miesiące istnienia szkoły. Chyli się czoło przed wyteżoną, pełną oddania się, pracą pierwszych pp. profesorów i pierwszych uczniów.

Pierwsi uczniowie była to młodzież starsza, poważna, świadomie idąca do celu, rozumiejąca i kochająca ten cel.

Płyną lata. Rok rocznie opuszcza szkołę gromadka młodych ludzi, by iść w świat na nowe życie, odrabiać to, co ręka trój-zaborcy zrobiła. Idą by pracę zacząć od podstaw, od oświecania i uświadamiania narodowego ludu. Gdy się zważy na tę szczytną misję, gdy się uprzytomni doniosłość celu, głowa podnosi się wyżej, oczy patrzą radośniej i chce się żyć, bo się wie, poco żyje.

H. Łotowska.

To życie...

Noc, ubogie poddasze, światło księżyca oblewa wnętrza izdebki, na łóżku leży sterany widać długą chorobą młodzieniec, przy nim jego ukochana pociesza go słowami nadziei. Wie iż jest on obarczony nieuleczalną chorobą i prędko już śmierć — konieczność odbierze jej najdroższego, ale chce utrzymać jego w nieświadomości, ulżyć mękę ostatnich dni żywota.

— Powiada, iż lekarz X, ich stary przyjaciel orzekł, iż stan chorego od czasu ostatniej wizyty znacznie się polepszył i jest nadzieja... iż może... może powróci prędko do zdrowia, a wtenczas... rzekła, nastąpią dla nas dni odrodzenia. A gdy będziemy już syci całą pełnią szczęścia, to przeniesiemy się razem do lepszego życia. Może naszym przeznaczeniem jest jedna z tych mrugających gwiazd przestworza niebieskiego, — gdzie czeka nas zapomnienie przeszłości oraz wieczna niezmacona niczem, rajska szczęśliwość...

Tak szeptały usta, a iskrzące się oczy wpatrywały się upowoczywie w twarz chorego. A ona skrzywiła się i gorycz zarysowała się na jej powierzchni. Chory nie chciał złudzeń znał już od dawna swą chorobę, zabił ją już się rana jego serca i gotów był na „ostatnią chwilę”.

Oto jaką odpowiedź usłyszała nieszczęsna.

— W czasie wielu bezsennych nocy wpatrywałem się w te przerażająco ciemne, bezkresne, lodowato-obojętne obszary wszechświata. I ujrzałem raz, na jednej z tych przevalających się po odwiecznych torach planet, ujrzałem... coś na kształt człowieka!

I on był taki chory jak ja, i przy nim była taka istota jak ty... On umierał z głową opartą na jej ramieniu, a ona szeptała mu na pożegnanie słowa pociechy. — Ty nie zapadniesz się w ciemność i nicość, odrodzisz się do nowego, lepszego życia.

Wzniesź oczy ku tym palającym gwiazdom, spotkamy się na jednej z nich. I wodząc ręką wskazała na jedną o niebieskawym świetle, wędrującą z swym nieodstępnym towarzyszem księżycem, gdzieś do niewiadomego celu.

I rozpoznałem w tej gwiazdzie, o przekleństwo! rozpoznałem w niej... naszą ziemię...

— Zapadła długa, grobowa cisza.

Redaktor

Korzystajmy z „natchnienia”.

Często słyszy się takie zdanie: „Nie udała mi się klasówka, gdyż nie miałem ani za grosz natchnienia”, albo: „Za dzisiejsze wypracowanie otrzymam najmniej czwórkę, gdyż podczas pisania nawiedziła mnie muza poezji. Bujałem po podniebiach, wlewałem w każde słówko tyle uczucia, tyle fantazji, że naprawdę nigdy jeszcze na mnie nie spłynęło tyle potoków poezji, tyle oryginalnych uczuć”.

Takie i tym podobne wyrażenia można usłyszeć po klasówce z polskiego na korytarzu przed kursem IV męskim.

Atośby pomyślał, że może na tym IV-m naprawdę bywają „natchnione łby” przed każdą klasówką. Ale gdzież tam! Są to zwykli śmiertelnicy, „strajkowicze” w śpiewie na modlitwie, „kawalarze” na całą szkołę, gdzieby tam z nich byli poeci.

Nie na każdego i niezawsze nadchodzą takie chwile „natchnień”, ale bądź co bądź stwierdzićby należało, że takie chwile od czasu do czasu nas nawiedzają. Rozrywa się wówczas przed naszymi oczyma szara zasłona, z poza której ukazuje się nieprzebrane bogactwo fantazji twórczej, szlachetnych uczuć, pięknych słów i zwrotów — słowem, uśmiecha się przed nami cała nieskazitelna mickiewiczowska poezja. I cóż zatem jest tem „natchnieniem”? Odpowiemy na to z punktu widzenia psychologicznego, że jest to odpowiednio nastrojony stan psychiczny, dzięki któremu

mamy większą zdolność do tworzenia rzeczy oryginalnych, nowych. (Może to nawet ktoś inaczej zdefiniować!)

Zastanowiłby się teraz należało, pod wpływem czego nasuwają się nam takie chwile natchnień w takich warunkach w jakich się obecnie znajdujemy. „Różnie różni plotą, cóż kiedy nie był nikt na dnie”. A zatem różne też na to są poglądy naszej młodzieży. Jedni twierdzą, że podobne chwile występują samorzutnie, bez żadnej podniety, drudzy utrzymują, że chwile takie spływają na nich w samotnych okolicznościach chwilach, a inni jeszcze, że przez czytanie odpowiednich książek. Trudno jednakże, jak zaznaczyłem, określić dokładnie, że takie czy owakie warunki je wywołują. Zdaje się, że te trzy poglądy nie wykluczają się, lecz owszem, wzajemnie się uzupełniają.

Najbardziej prawdopodobny, według mnie, jest pogląd trzeci. Czytanie niektórych książek tak nas może nastroić psychicznie, że pod jego wpływem budzi się jakaś dziwna tendencja do pisania czegoś, do uwiecznienia swoich uczuć na papierze. O ile chcemy naprawdę mieć „pamiętkę przeszłości” z szybko przemijających uczuć, zaraz musimy pisać bez zwlekania, gdyż chwila „natchnienia” trwa niedługo, urojone obrazy znikają i nasuwa się znowu szary całun rzeczywistości. Bo prawda, takie chwile pod wpływem jakichś wspomnień znowu się odradzają, ale na krótko by znowu niknąć.

Stuknij się teraz, „codzienny zjadaczu chleba”, w skarbonicę mądrości i pomyśl rozsądnie nad tem, czy nie mógłbyś wykorzystać jedną, dwie takich chwil natchnienia na miesiąc i „kropnąć” coś niecoś do naszej „chudej” gazetki? Czekaj ona co miesiąc na te kilka artykułów, (których, niestety coraz mniej wpływa do teki redaktora) i czyżby naprawdę odmówiłby się jej należało tego, na co się zdobyć przy dobrych chęciach możemy?

Retsjam.

Na naszej ślizgawce.

Krzyki, gwar, piski (naturalnie koleżanek) oznajmniają wszystkim, że na ślizgawce ruch wielki. Nad głowami jeżdżących fruwać czapki, śniegowce, co przy akompaniamencie gwaru, tworzy niepisany chaos. Oprócz naszych ko-

leżanek i kolegów, migają przed oczyma rondelki sztubaków, na których, oprócz znaczków szkolnych, przypięte są kartki, gwarantujące bezpieczną jazdę. Bezpieczną naturalnie w tem znaczeniu, że nikt nie wyprosi z lodu. W powietrzu fruwały różnobarwne końce szalików, przeważnie w kratkę. Pary, trójki mkną po sobie szybko. „Pistolety”, „holendry”, różne przesłoki i wiele innych nieokreślonych figur—demonstrują specjaliści, nieokreślone figury produkują przeważnie nowicjusze. Wężyki, mlynki dopełniają nastroju, z czem wiąże się wiele nieraz przygód. Bez względu na potłuczenie się, nastrój panuje miły i wesoły. Tak, łyżwiarstwo to bardzo przyjemny sport.

Inni znowu przyglądają się heroicznym wysiłkom swych kolegów—mody, mody dlatego, że ślizgawka w dobie obecnej staje się coraz modniejsza.

Często jesteśmy świadkami, jak osoba mało wprawiona i słabo obeznana z lodem, traci równowagę i delikatnie (że aż lód pęka) pada. Padania te są prawdziwym nieszczęściem. W wypadkach takich, wchodzą w styczność z lodem najdelikatniejsze części naszego ciała jak nos, łokcie, kolana. W samem padaniu należy też rozróżnić pewne kategorie. Można upaść stylowo, a można też upaść i ordynarnie, co praktykują przeważnie początkujący.

Ach! pysznie jednak na naszej ślizgawce! Wprawdzie ma się potem wyrzuty sumienia, że „nie matematyka, a lód w głowie”, ale na drugi dzień odwiedza się znowu ślizgawkę.

Z. W.

Przed zabawą.

Wstał dzień jasny i pogodny. Słońce rzucało złote promienie, topiąc śniegi i wyrывая ziemię z objęć zimy.

Jak zwykle do szkoły śpieszyły gromadki młodzieży. Między nimi wyróżniały się twarze seminarzystek i seminarzystów, które jaśniały radością; były pełne życia i werwy. Cóż mogło być tego przyczyną?!

W gmachu seminarjalnym jakieś przygotowania, wesołe rozmowy, śmiechy—wokóło czuć życie i wesele. Pośród tych rozmów i śmiechów brzmiały wyrazy: „Zabawa! Jutro zabawa!!!”

Tak jutro zabawa. I to niebyłe jaka, ale karnawałowa, doroczna zabawa!—Więc jakże się nie cieszyć?!

Z IV kursu po zebraniu gminy wybiegły dziewczynki z palającymi twarzami, ze zgrozą w oczach.

— Ach!!!—woła Zosia — na zabawę nie można przyjść upudrowanej. Wyobraźcie sobie! nosa nie można upudrować. A temu są winni koledzy, to podobno w męskim internacie zamiast książek, w kasetkach leżą szminki różnobarwne i pudry różnych odcieni—więc nam też zabroniono, bo podobno koledzy ten zwyczaj przyjęli od nas!

Po tych słowach nastąpiły groźne pomruki, gdzieś niegdzie śmiechy.

— Ale to jeszcze nie wszystko!—woła Genka—bo nawet w jedwabnych mundurkach, ani też w kłoszowych sukienkach nie można przyjść. O fryzowaniu to nawet niema mowy!

Tego było za dużo! Wzburzone seminarzystki postanowiły „w takim razie” na zabawę nie przychodzić.

Rzeczywiście na zabawę trzeba było przyjść w „uniformie”, to znaczy w granatowym, wełnianym mundurze, w czarnych pończochach i pantoflach i... nie upudrowanej, ani też ufryzowanej.

Nic nie pomogły tłumaczenia Genki i Hali, że kłoszowa sukienka tak mało się różni od mundurków, tem tylko, że jest „modna” i że zamiast plisowanej spódniczki ma kłoszową falbanę.

— Trudna rada, trzeba przyjść w uniformie!

Wzburzone dziewczynki postanowiły na zabawę nie przyjść, a zrobić „coś innego”. Po krótkiej naradzie postanowiły urządzić „prywatkę”.

Myśl ta je cieszyła, były zadowolone z pomysłu.

Wtem przezniesza Pola rzuciła pytanie:

— A jak „wpadniemy!?”

W związku z tem wyłoniły się nowe pomysły. Jedna proponowała w chwili, gdyby tak wszedł Pan Dyrektor, chłopców wsadzić do szafy, pod łóżka, wogóle gdzie się da. Inna znów—by mieć okno w pogotowiu i powysadzać ich oknem.—Pomysły były bajeczne, lecz myśl że „możemy wpaść” zgnębiła je mocno.



Po krótkim milczeniu Genka rzuciła propozycję urządzenia „Dziewiczego wieczoru”. Pomysł był świetny, to też z kilkunastu piersi wyrwały się słowa zachwytu. I parę czwartokursistek wraz z piątokursistkami postanowiły urządzić „dziewiczy wieczór” w mieszkaniu Loizi. Dzwonek przerwał dalsze narady i rozpromienione dziewczynki rozbiegły się do swych klas.

Na szóstej lekcji ogłoszono nam pewne ustępstwo, a mianowicie, że można przyjść w popelinowych mundurkach.

Po sześciu lekcjach znów się zebrały zwolenniczki „Dziewiczego wieczoru”—lecz w oczach piątokursisek nie było już zapału, miny były nawet smutne, przygnębione.

Wiecie co?—mówi Zosia—my musimy przyjść na zabawę.

— A to niby dlaczego?—odzywa się Hala.

Ach!—wzdycha Zosia—pani Wychowawczyni zazna-czyła nam, że kto nie przyjdzie, to na maturę będzie miał „cztery” ze sprawowania.

— Taaak?!!!—wyrwało się z ust czwartokursistek.

I nastało głuche milczenie...

Lecz nasze dziewczynki nie są skłonne do smutków, więc i teraz Genka rozpogodziła swe smutne lica i z dawną werwą zawołała:

— A więc przychodzimy! Przyjdę w starym, podartym fartuchu, głowę i twarz nasmaruję łojem, żeby było znać, że nie jestem upudrowana ani też ufryzowana.

Na słowa Genki rozległ się wesoły śmiech.

Jednak ostatecznie dziewczynki postanowiły przyjść w tem, co która posiada, a zamiast pudru przynieść krem „co godzina”.

Cieszyły się myślą, że będą co godzina wybiegać z zabawy, by użyć tego kremu. I z tem postanowieniem rozeszły się do domów.

I znikł ten chwilowy smutek z ich twarzy i wracały do domów wesołe, a słońce rzucało swe ciepłe promienie na ich buzie, które mimowoli rozchylały się do uśmiechu, ciesząc się wszystkim a szczególnie tak ładnym dniem, który przypominał dzień wiosenny.

Halina Mianowska.

Nasz polonez.

Opisywać zabawy nie będę, bo może kto inny to uczyni zresztą, wszyscy byli na niej, więc szczegółowy opis jest zbędny, chodzi mi o poloneza.

Otóż było tak: w jednym kącie korytarza umieszczono orkiestrę, w przeciwległym ustawiano się do tańca. Na dany znak muzykanci uderzyli w bębny, trąby i rozpoczął się polonez.

Po korytarzu, umajonym, uwieńczonym girlandami świerkowemi i kolorowemi bibułkami, szły pary po parach, hucznie i wesoło.

Na przedzie byli, jak zwykle, najstarsi. A więc na czele korowodu idzie pan prof. Małek z naszą wybitną pracowniczką Oleńką Iwanczukówną. Co za parada! Tańczyć w pierwszej parze i to z kim? To też Oleńka puszy się i dyga niczem Telimena. Za nimi sunie pan Dyrektor z Janką Łosiówną obecną referentką wydziału samorządowego. Wszystkich oczy z lubością zatrzymują się na tej parze, ale wnet biegają gdzieindziej, bo oto w trzeciej parze kroczy Prezes naszej organizacji, gwiazda szkoły, księżyc na teranie żeńskiego seminarjum, a słońce wśród drugokursistek. Publiczność pod ścianami i koło okien stojąca poruszyła się.

„Patrzcie, patrzcie”, wołano—„co za postawa, jakie ruchy, iście królewskie!” I rzeczywiście kolega wyglądał może mniej cudnie, ale oryginalnie, Trzymał się możliwie prosto, głowę zadął do góry, twarz miał wydłużoną, czoło olimpijskiego władcy, oczu dobrze nie było widać, tylko binokle błyszczały triumfalnie. W tłumie rozległ się szmer podziwu i uwielbienia. Zachwycano się jego postacią, profilem figury.

„A on stapał powoli, niby odniechcenia. Ale z każdego kroku z każdego ruszenia Można tancerza słowa i myśli wyczytać Oto stanął, jakgdyby chciał swą damę pytać”, ale on napewno swej damy o nic nie pytał, bo była nią pani profesorka Gulbińska, więc tylko się nastroszył jak indyk, zamiast pójść w prawą stronę, udał się na lewo, tam, gdzie były damy.

Tymczasem taniec w całej pełni. Poza wyżej wymienionemi parami szły inne, koledzy, wystrojeni, nadpodziw

elegancy, woniejący świeżym sianem, koniczyną, fiołkami, prowadzili szczęśliwe i uśmiechnięte koleżanki, przypominające narcyzy, tulipany, piwonje i olejki różane. Na końcu szły już tylko mydelka akademickie i zwykłe wody kolońskie. A polonez trwał. Najpierw były dwójki, później czwórki, osemki, koła, luki, elipsy dalej jeden koniec tańczył, a drugi chodził po wszystkich salach balowych.

Szkoda, że nie zajrzano do sali gdzie mieścił się bufet IV drużyny żeńskiej, toby druhny wszystkie cukierki rozsprzedały no i tą swoją lemoniadę, którą sprzedawano po 20 gr. za kubek, a która przypominała może kawę, zupe, w ostateczności herbatę cegielkową, ale nigdy lemoniadę.

Po uroczystym polonezie nastąpiły zwykłe nasze walczyki, krakowiaki i oberki.

Uczestniczka zabawy.

Co słyhać na trzecim żeńskim?

Pomimo, że kurs nasz zgodnie przez wszystkich naszych p.p. Profesorów został uznany i podniesiony do godności „najgłośniejszego”, niewiele o nas słyhać.

Jednak pracujemy bardzo.

Czytamy „Kompas”, pismo szkolne seminarjum nauczycielskiego w Mławie aby po przeczytaniu stanowczo po raz setny stwierdzić, że tak dłużej być nie może, trzeba pisać do „Młodej Myśli”. Najniezwyklejszym z ludzi jest ten, kto siedzi z „członkiem redakcji” na wspólnej ławie calusieńkie dwa tygodnie słyszysz, że „trzeba pisać”. Zaraz, zaraz, chwileczka... a ponieważ rozlega się dzwonek na lekcję, więc „członek redakcji” siada grzecznie i szuka artykułów, wiceredaktor grzmiącym głosem woła: „Dziewczynki dzwonek”.

„Irko, będziemy pisać na tej lekcji koniecznie. Wiesz, nie mam jeszcze żadnego artykułu, bo”...

„Ale, kiedy teraz matematyka, jeśli chcesz możemy napisać coś o pierwiastkach. Wątpię jednak, czy się uda, siedzimy na pierwszej ławce”.

„O pierwiastkach? Aha, Ela, jakie to twierdzenie?

Czekaj, aby podzielić pierwiastek... należy mianownik, licznik, pierwiastek... trzeba potem podzielić przez”...

Przed każdą lekcją gimnastyki ubieramy się w czapki, a na obwieszczenie Geni „Gimnastyka w sali” zwieszamy smutnie głowy i gdy pani pyta: „Dlaczego nie ćwiczysz?— zgodnym chórem odpowiadamy: „Myślałyśmy, że dzisiaj napewno będzie na lodzie”.

Na francuskim najbardziej lubimy „chante”, na lekcji historii „Życie Polskie w dawnych wiekach”, wskazane jako lektura obowiązująca z polskiego.

Jest nam bardzo smutno, gdy p. prof. Bielawska w czasie klasówki usiadzie tuż przed ławkami na środku klasy. „Boże, jak Pani niewygodnie!” lituje się głośno Zosia, a cały kurs podziela jej zdanie.

Radzimy o wieczorze który ma się odbyć w najbliższych dniach. Bardzo wesołe i zajmujące jest to „radzenie”, ale pozostanie tajemnicą trzeciego żeńskiego.

Robimy kotyljony na zabawę, mierząc je na każdej pauzie przy zamkniętych drzwiach.

Bierzemy udział w zabawie w liczbie szesnastu.

Czy jesteśmy najgłośniejszym ze wszystkich kursów w szkole? Oj, chyba nie, bo gdy p. prof. Pacewiczówna na historii pyta: „Jak powstało państwo pruskie, jakie przechodziło koleje? a nawet, gdy nas pocieszy, że „o tem była mowa w zeszłym roku” wszystkie siedzimy tak cicho, że mimowoli pytasz siebie „czy prawda, że lekcje z nami są niemożliwe?”

Stanowczo nie jesteśmy najgłośniejsze! Umiemy odpowiadać tak cicho, że nieraz nawet p.p. Profesorowie nie mogą zgadnąć która.

Irka Czechówna.

O szkole — z za szkoły.

Szkola jest wszystkim dla człowieka, który w przyszłości stanąć ma do pracy samodzielnej, do pracy społecznej. W szkole zdobywa się wiedzę, w szkole zdobywa się kulturę, w szkole kształci się ducha. Lecz to nie jest jesz-

cze wszystko, co daje nam szkoła: daje nam ona jeszcze dużo innych cennych nauk nabytków wiedzy, które w przyszłości, kiedy znajdziemy się poza murami rodzimego, że tak powiem, zakładu, stosujemy w miarę potrzeby, w życiu. O tem jednak nie będę pisał, gdyż to jest zadaniem każdego zakładu naukowego i każdy, kto uczęszcza do tego zakładu, zdaje sobie doskonale z tego sprawę.

Chcę natomiast skreślić parę słów na temat czem są wspomnienia z murów szkolnych dla tych, którzy znaleźli się już poza jej obrębem. Wpierw jednak przypomnę słowa, jakie często daje się słyszeć w murach szkolnych. Słowa te, oczywiście są bardzo proste i są, co ważniejsze, streszczeniem każdego uczącego się, tak, że za zdrożne ich uważać nie należy, są to słowa: „Ach! żeby jak najrychlej wyrwać się z tej ponurej budy”. Tak, słowa te, jak zaznaczyłem nie są zdrożne, ale kiedy osądzimy je później, poza obrębem tej znienawidzonej „budy”—to, okaże się nieco inaczej. Wówczas właśnie te okropne mury, to życie jakie w nich pędziliśmy, ten stosunek wzajemny—stosunek tak bliski niczem nie skrępowany wprost braterski, jakiego już nigdy w życiu samodzielnem mieć nie będziemy—a jeśli będziemy, to właśnie z tymi, co razem z nami wycierali jedne ławy, tegoż zakładu. Ale stosunek ten nie będzie już taki ja tamten, kiedy to każdy niemal wybuch radości czy smutku jednego udzielał się w jednej chwili wszystkim towarzyszom, doli i niedoli sztubackiej”.

I nigdy już już w swem życiu poza murami szkoły, nie znajdziemy tyle humoru zdrowego, jaki panuje w życiu zbiorowem „sztubaków”, tyle wesołości, tyle burzy i tyle wrażeń długo, długo nie dających się wymazać z naszej pamięci. Choć często są te wspomnienia przeplatane i smutkiem, ale są one dla nas cenne, są nam bliskie i ukochane. To życie, do pewnego stopnia bez troski, to burzał, to zdrowie!, to skarb!, to najmilsza chwila życia, to młodość!!!

P. Jan Wojtowicki.

Mogiła.

Wśród lekko falistych pól powiatu kolneńskiego, usianych po wąskich miedzach przysadzistemi gruszami i skarłowaciałymi sosnami, które są szczątkami puszczy. będącej niegdyś częścią puszczy kurpiowskich, wznosi się gdzieniegdzie wyższy pagórek, ukoronowany grupą siostr — sosen, zadumanych i zatęsknionych do przeszłości, zburzonej przez człowieka.

Smutnie dziś szumią ich korony, które niegdyś niosły jedno drugiemu pieśń potęgi swej i wielkości, gdy o ich korony obijały się głosy zwierząt i nawoływań myśliwych. Były szerokie, długie i potężne te puszcze... A teraz? Sterczą gdzieniegdzie małe szczątki, które zostały na pamiątkę przeszłości. Otóż między szeregiem spotykanych pagórków, jeden zwraca uwagę i wzrok przechodnia, przykuwa go na chwilę, spędza często uśmiech z ust, na czole składa smutną zadumę... Podobny kształtem do innych, ma jednak w sobie coś, co go odróżnia od innych. Oto u jego stóp szarzeje rząd drewnianych, jednakowych krzyży, a na bardziej spłaszczonej wierzchołku pagórka, sterczy wielki krzyż, symbol cierpienia i smutku..

I ten pagórek, kryjący w swem wnętrzu szczątki ludzkich szkieletów, przesiąknięty krwią polskich żołnierzy, nie opuściły pocziwe sosny. Otoczyły go troskliwie swem ramieniem, i sterczą dumnie, towarzysząc w wieczności tym, o których może zamarła pamięć wśród ludzi.

Sosny szumią nad smutną mogiłą pieśń wielką, pieśń wolności — i mówią tym, których ukołysał ich szum: „Śpijcie spokojni Wy, co z odwagą i męstwem niesłicie swe życie w ofierze Tej której pragnęliście wolności. Niech Wam lekka będzie ziemia wolna, niech na Waszą mogiłę spłynie błogosławieństwo wolnej Ojczyzny!”

Czasem wąską ścieżyną przesunie się postać ludzka, aby na samotnej mogile złożyć cześć świętym prochom, czasem zespół ptaszęcych głosów rozbrzmi w powietrzu' nuąc pieśń uwielbienia Tym, którzy tu złożeni. M. W.

Szczęście...

Wiele jest szczęścia na świecie;
Które wystarczy jeno chwycić ręką!
Mędrzec i głupiec stale o niem plecie..
A szczęście każe okupić się męką!

P. J. Wojtowicki.

W wieczornej chwili.

— Stoi grono internistów i potężnym głosem kończy
śpiewać ostatnie strofki pieśni:

„...Łaski Twej błagamy Cię;
Twoje święte zmiłowanie
Tu na ziemię ześlij nam”.

Melodja jej trzykrotnem echem odbiła się o głuche
ściany korytarza... i skończyła gdzieś cicho w odległych kątach,
okrytych mrokiem. Za szybami okien czai się grobowa ciem-
ność nocy, wśród której gdzieś niegdzie, niby oczy wilków,
błyszczą światła lamp elektrycznych. W kilku punktach ko-
rytarza migają lekko ostatnie światła. Od czasu do czasu
ktoś głucho zatrzaśnie drzwiami, niby tajemniczym wiekiem
trumny. W niektórych salach siedzą ostatki tych, którym
sen nie klei strudzonych powiek, i w nastrojowej ciszy „wy-
kuwają”, schyleni nad książkami, swoją przyszłość. Co chwila
któryś z nich cicho chrząknie i, nie odrywając wzroku od
książki, zagłębia się, jak robak w drzewo, w swój problem,
lub jakieś zagadnienie. Resztki internistów powoli snują się,
niby cienie elizejskie z sypialni do umywalni i zpowrotem.
Wtem słychać skrzyp dębowej podłogi i miarowe kroki
p. wychowawcy. Co chwila zatrzymują się one pod drzwia-
mi, z pozakrętych błyszczy jeszcze światło, i słychać stłu-
mione słowa: „spać”, spać! — już późno! W ten sposób za-
gania on „ćmy nocne” do spoczynku. Mimowolnie podnoszą się
strudzone całodzienną pracą głowy, zeszytwniały palce skła-
dają książki i zeszyty; światła gasną i wszyscy w milczeniu
głęboko idą do sypialni, gdzie bezprotestu się rozbierają
i kładą się do spoczynku.

— — Cisza... Lekkie, jak sen rytmiczne oddechy wy-
dobywają się z piersi śpiących. Czerwone światło lampki

nocnej błyszczy gdzieś wysoko nad drzwiami. Tymczasem
księżyc wychylił z poza ciemnych chmur swą pyzată, okrą-
głą twarz. Srebrny jego blask, przedarłszy się przez wier-
chółki kołyszących się drzew parku, padł przez szyby na
twarze śpiących i uwieńczył je jakąś dziwną aureolą nad-
ziemskiej powagi. Na korytarzu słychać głośnie cykanie wa-
hadła zegaru a potem bicie raz, dwa... dziewięć, dziesięć
i znowu cykanie. Anioł ukojenia i ciszy zstąpił z wyso-
kości i szerokie swe skrzydła roztoczył nad śpiącą bracią...

Cisza...

J. Horodeński

Mrzonki.

O dniu dzieciństwa! — wy wróćcie jeszcze
I wróć może sny moje złote,
I może je kiedyś nad grobem wypieszczę,
Kojąc wspomnieniem, za wami — tęsknotę.

I wspominając swoją przeszłość miłą
Kolebkę wyśnię w snach z bajki złocistych,
Gdy drogie widma w konturach swych mglistych
Po latach ujrzę, stojąc nad mogiłą.

Ostatni dzień w szkole.

... Przeminał rok.

I znowu takiż sam nastrój, też same niemal błyski
w oczach, toż samo ożywienie. Nic się naogół nie zmieniło,
a jednak?...

Czas zostawił swój ślad. Tu i owdzie widać osobnika
o twarzy nacechowanej powagą, kroczącego i, jak zdawało-
by się, nie widzącego ni tych, co się cieszą, ni tych, dla
których z każdego niemal kąta gmachu wyziera „żał i smu-
tek szary”.

Po nabożeństwie (dobrze kto z Bogiem poczyną"), jako 1-szy punkt programu dnia dzisiejszego, miało nastąpić rozdanie dyplomów tym, którym uznano za dojrzałych. A warto było ich widzieć. Co za powaga, a wszyscy jak jeden mąż „w cywilu”.

Na sali zapanowała cisza... Pan Dyrektor mówił do tych, co rozsiedli się najbliżej stolika (absolwentki i absolwenci). Wreszcie po przemówieniach p. prof. Wojtulewicza i p. Prezesa Kom. Rodzic., jeden z Kol. maturzystów pożegnał w imieniu tych co wraz z nim opuszczali szkołę, grono nauczycielskie i nas pozostających jeszcze...

Po dość długim wstępie, przystąpiono do „tego co najważniejsze”. Miejsce przy stoliku zajął p. Dyrektor.

Uroczyste milczenie, lecz bardziej jeszcze uroczystym głosem zostało rzucone nazwisko pierwszej uczenicy, która dość pewnym krokiem podeszła do stołu. Szmer powstał na sali, który w miarę jak podchodziły inne, rósł coraz bardziej. Bo jakżeś inaczej mogłoby bractwo nasze okazać swój podziw dla tych, które na dzisiejszą uroczystość przeobraziły się zupełnie.

Już miast mundurków — długie suknie, miast wełny (najczęściej gorszego gatunku) lub satyny — jedwabie! Mimowoli ta i owa koleżanka — widz tłumiła westchnienie, jej bowiem nie sądzonem było być dzisiaj w jedwabiach „z trenami” (ostatni krzyk mody).

Kiedy wreszcie i koledzy otrzymali świadectwa dojrzałości, my, niematurzyści jeszcze rozeszliśmy się do swoich klas by tam z rąk pp.: Wychowawców otrzymać ocenę całorocznej pracy.

A tymczasem po korytarzach przechadzali się najbliżsi tych, co ze drżeniem zajmowali swoje zwykłe miejsca w ławkach. Co moment ktoś wychodził, lub poprostu wypadał z klasy (jedni z zadowolenia drudzy z rozpacz) i rzucał się w objęcia tych najbliższych, gdzie wolno mu było ronić łzy radości lub rozpacz.

Lecz byli i tacy, którzy nie mieli z kim się dzielić jednym lub drugim. Ci więc najczęściej, trawiać smutek lub radość w sobie, opuszczali gmach prawie obojętnie z tą myślą, że wrócą tu za dwa miesiące, lub nie wrócą wcale.

I tak pierwszy dzień wakacyj przyszedł niewiadomo skąd: rozsloneczniony... cudny. Niejedno z nas marzyło już o tem, jak to przyjemnie będzie, leżąc w trawie z twarzą w słońcu i wzrokiem w błękitach, marzyć o gwiazdce z nieba i snuć bajkę o „żelaznym wilku”.

Odpowiedzi Redakcji.

„Sprawozdanie ze zjazdu w Grodnie”. — Słabo napisane stylistycznie i ortograficznie. Przydałoby się powtórzenie gramatyki.

„Franek”. — Myśl jest, lecz styl, ortografia (na Boga!) niemożliwe. Pisać, dużo pisać. Tymczasem nie drukujemy. Czekamy na inne.

„Echo z zabawy”. — Utwór lepszy z tych gorszych, ale nie drukujemy, bo dużo jest wyrażen dosadnych, a gdzieś i przecinaczek nie w porządku. Prosimy o inne prace.

„Chrzaszcz”. — Wezwanie zupełnie dobrze napisane, lecz posiadając inne prace lepsze na ten temat musieliśmy zrezygnować z oddania go do druku.

„Nasza czytelnia”. — Spostrzeżenia trafne, lecz należało lepiej ten temat opracować. Większa dbałość o styl i język. Czekamy na inne artykuły, tego nie drukujemy.

„Podróż na święta Bożego Narodzenia”. — Artykuł przydługi, nieaktualny i nieciekawy. Dziękujemy.

„Wycieczki szkolne”. — Referat opracowany starannie, lecz niestety nie możemy skorzystać ze względu na rozmiary.

„Artykuł nadesłany” J. S. — Tymczasem nie drukujemy, ze względu na rozmiary, odkładamy na potem.

Redaktor.

ODBITO
w
POLSKICH ZAKŁADACH
GRAFICZNYCH
„DZIENNIK BIAŁOSTOCKI”
LEGJONOWA 1
w
BIAŁYMSTOKU.